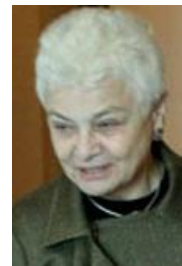


NECHAMA TEC

ur. 1931; Lublin



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	Lublin, dwudziestolecie międzywojenne, rodzina, matka, Estera Bawnik, Estera Finkelsztajn, ojciec, Roman Bawnik, dziadkowie, Pejsach Finkelsztajn, Syma Finkelsztajn, fabryka

Rodzina

Przed wojną mieszkałam na Pijarskiej 1. To była ulica, która łączyła Narutowicza i Krakowskie Przedmieście.

Moja mama nie pracowała, a mój ojciec był współwłaścicielem dwóch fabryk. Jedna była fabryką świec na ulicy Lubartowskiej 2, a druga to była taka chemiczna fabryka, na Lubartowskiej 50, która wyrabiała zimne ognie, artykuły plastyczne, lepy na muchy, pastę do butów, mydła. Ojciec był właściwie chemikiem amatorem. Robił zapiski, jak robić lepszą pastę do butów, próbował, miał swoje małe miejsce w fabryce. Ale miał oczywiście chemika. To była dość duża fabryka.

Moja mama nazywała się Estera Bawnik, z domu Finkelsztajn. Mój ojciec to Roman Bawnik, po żydowsku Irachmiel, ale nazywali go Roman. Moja mama urodziła się w Lublinie, tak jak, zdaje się, babcia i dziadek. Ja się urodziłam w Lublinie, moja starsza siostra, mój ojciec. Wszyscy, jak mi wiadomo, pochodzą z Lublina.

Mój ojciec był osierocony, jak miał czternaście lat, tak że miałam tylko babcię i dziadka ze strony mamy. Oni byli ortodoksyjnymi Żydami. Często przyjeżdżali nas odwiedzać. Mieszkali w Międzyrzecu, dlatego że podczas ekonomicznych trudności w świecie stracili swoją fabrykę i wszystko i musieli się przenieść do mniejszego miejsca. Byli bardzo ortodoksyjni, ale dziadek był człowiekiem, który nigdy nie nalegał, abyśmy, przypuśćmy, nie jedli czegoś niekoszernego. On się nigdy nie wtrącał. Moja babcia zawsze musiała wiedzieć, co się je i co się robi. Zawsze mi opowiadali różne historyjki. To było małżeństwo aranżowane, które urządziły ich matki – dwie przyjaciółki postanowiły, że syn [jednej] pobierze się z córką [drugiej]. Moja babcia zobaczyła dziadka dopiero pod chupą. I podobno jak go zobaczyła, to zemdląca. Jako dziecko zawsze się dziwiłam, dlaczego ona zemdląca, bo on był bardzo przystojny, wysoki. Potem mi wytłumaczono, że babcia była zakochana w jakimś kuzynie i rodzice nie pozwolili jej się pobrać z nim, dlatego że on był bardzo

zasymilowanym Żydem, w ogóle nie uważał się za Żyda i dlatego uważali, że on nie nadaje się dla niej. Dziadkowie mieli cztery córki i syna, i żyli razem do końca, dopóki Niemcy ich nie wymordowali.

Dziadek nazywał się Pejsach Finkelsztajn, a babcia Syma Finkelsztajn. Moja babcia była bardzo piękną kobietą. To pamiętam jako dziecko. Wysoka, szczupła, bardzo elegancka. Miała piękne nogi. Wszyscy mówili, że ma nogi jak Marlena Dietrich. Pamiętam, że jak ona przyjeżdżała i chodziła ze mną na spacer, trzymała mnie za rękę, to się oglądali za nią, bo ona wyglądała – w moich oczach – jak królowa. Chodziła tak, każdy na nią patrzył. Byłam dumna, że mam taką piękną babcie. Oczywiście dla mnie byli bardzo dobrzy, mieli dużo cierpliwości. Pamiętam tylko ciepłe rzeczy, ale słyszałam różne historie. Słyszałam, że byli rozczarowani tym, że najmłodsza córka nie chciała wyjść za mąż. Ten jej się nie podobał, tamten jej się nie podobał i martwili się, że zostanie starą panną. Ona miała chyba dwadzieścia dwa lata czy coś takiego, jak wojna się zaczęła, a oni już się martwili, że będzie starą panną. Babcia była dominująca w tym małżeństwie, to co ona chciała, to się robiło. Bardzo kochałam dziadka, bo on był łagodnym, dobrym człowiekiem. Moja mama zawsze posyłała mu pieniądze, żeby miał trochę w kieszeni, bo on lubił dawać je biednym, aby jego żona nie wiedziała, bo ona nie była tak dobroduszna jak on. Była tradycja między religijnymi Żydami, że jeśli się idzie do bóżnicy w piątek i jeśli jest ktoś obcy, czy ktoś nie ma gdzie iść, żeby zjeść, to należy zaprosić go do siebie do domu. Zawsze były opowiadania, że mój dziadek zapraszał o wiele więcej ludzi, aniżeli było miejsca dookoła stołu i oczywiście babcia nic nie mogła zrobić. Jak już przyszli ludzie, to musiała dać im jedzenie i tak dalej. Opowiadali też, że jak przychodzili do fabryki dziadków po świece, to dziadek zawsze dokładał trochę więcej świec. Jak ktoś wziął kilo, to on mu dał kilo i dziesięć deko. To babcie oczywiście denerwowało. Oni nie byli bogatymi ludźmi. Potem ona już sama ważyła świece. Mawiała: „Ja już sama zważę, bo inaczej to ty mnie zrujnujesz”. Takie historie stałe mi opowiadali nie tyle mama i ojciec, co ciotki i kuzynowie. To były historyjki o rodzinie, które mi się podobały, zawsze chciałam słuchać, co ten robił, co tamten robił, jaki jest ten, jaki tamten. Byłam widocznie bardzo wścibskim dzieckiem, chciałam dużo wiedzieć.

Data i miejsce nagrania	2005-10-26, Lublin
Rozmawiał/a	Tomasz Czajkowski
Redakcja	Piotr Krotofil
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"